

RILEY THORN

i
MARTWY
SASIAD



ROMANTYCZNA KOMEDIA
Z NADPRZYRODZONYM WĄTKIEM W TŁE

LUCY SCORE

Tytuł oryginału: Riley Thorn and the Dead Guy Next Door

Tłumaczenie: Olgierd Maj

ISBN: 978-83-283-8827-7

Copyright © 2020 Lucy Score.

Published by arrangement with Bookcase Literary Agency and Booklab Agency.

Polish edition copyright © 2022 by Helion S.A.

All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/rithma>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 1

Sobota, 4 lipca, 22:02

Martwi przemawiali do Riley Thorn w snach. Żywi przekazywali jej swoje sekrety w najmniej stosownych momentach: w zatłoczonych restauracjach lub przy kasach w supermarketach.

Starła się, jak mogła, ignorować ich wszystkich.

W tej chwili rozmawiała jedynie ze swoimi cyckami.

— Jedziemy Osiemdziesiątą Trzecią na południe, w stronę mostu. Mamy towarzystwo — wycedziła przez zaciśnięte zęby.

— O mój Boże, ona zupełnie zwariowała. Gada do swoich cycków — jęknęła z tylnego siedzenia jedna z jej pasażerek.

— Ja też często gadam do moich, a ty nie? — zainteresowała się druga.

— Ja nigdy nie rozmawiam z częściami mojego ciała, może powinienem zacząć? — zastanowił się jedyny mężczyzna w samochodzie.

— Wy wszyscy *nie* jesteście normalni — poskarżyła się ostatnia pasażerka z tylnego siedzenia.

Ha, normalni.

Normalność była dla Riley buntem przeciwko jej dzieciństwu, pachnącemu paczulą, wypełnionemu uprawianiem domowych warzyw i uczestnictwem w seansach spirytystycznych. Normalność była jej drugim imieniem. To znaczy nie dosłownie, jej *prawdziwe* drugie imię było najokropniejszym drugim imieniem w historii. Chętnie by je zmieniła, gdyby nie oznaczało to konieczności zapisania go na kartce i pokazania komuś innemu.

Normalność była czymś, czego teraz pragnęła, wduszając gaz do dechy. Skradziona półciężarówka powoli nabierała prędkości przy akompaniamencie puszczonej na cały regulator piosenki *Black Betty* Ram Jam.

Pasażerka z przedniego siedzenia zmieniła magazynki w pistoletach.

— To chyba gliny — obwieściła Riley, zastanawiając się, czy powinna zjechać na pobocze, czy też byłby to ostatni błąd, jaki popełniłaby w życiu. We wstecznym lusterku widziała migające niebieskie i czerwone światła. — Nie możesz strzelać do gliniarzy!

Rozległ się huk i jedna z pasażerek z tylnego siedzenia wrzasnęła:

— Ale oni strzelają do nas! To złe gliny!

W tym momencie niebo z prawej się rozświetliło.

— Nie strzelają do nas — upierała się Riley, przekrzykując muzykę. Po ich prawej eksplodowały kolejne fajerwerki. Pirotechnicy z City Island naprawdę poszli na całość z okazji obchodów czwartego lipca. Na stadionie baseballowym całe rodziny cieszyły się ulubionym amerykańskim świętem, spędzając je w swój ulubiony sposób, kompletnie nieświadome tego, że tymczasem bandyci zbliżali się do grupy ludzi, których jeszcze przed tygodniem można było nazwać stosunkowo normalnymi obywatelami.

Riley desperacko pragnęła być jedną z tłumu świętujących, niewinną, szczęśliwą osobą, której jedynym zmartwieniem byłyby zawyżone ceny piwa na stadionie. Ale nie! Popełniła jeden głupi błąd, podjęła jedną pozornie niewinną decyzję, a teraz wyglądało na to, że skończy w rzece Susquehanna utopiona w półciężarówce pełnej dziwaków.

Jadący za nią nieoznakowany sedan zjechał na lewy pas i Riley od razu wiedziała, co zamierzają zrobić siedzący w nim ludzie — zobaczyła to w umyśle w wysokiej rozdzielczości.

— Wszyscy na ziemię! — wrzasnęła i wdepnęła hamulec.

Wszyscy jej pasażerowie padli na podłogę tuż przed tym, jak grad kul wywalił okna od strony kierowcy.

— Teraz jestem pewna, że do nas strzelają — zauważyła któraś mądrała.

— Tak sądzisz? — odkrzyknęła Riley.

Zewsząd sypało się szkło, a zapach palonej gumy atakował jej nozdrza.

— Strzelają do nas! — wrzasnęła Riley w kierunku swoich piersi. Jeśli ktokolwiek odpowiedział, to i tak nie była w stanie go usłyszeć poprzez huk fajerwerków, krzyki i ryczące na cały głos radio z zepsutym pokrętelem głośności.

Ostrożnie zerknęła ponad kierownicą. Czarne ślady opon prowadziły do samochodu, stojącego w poprzek dwóch z trzech prowadzących na

południe pasów mostu. Przed samochodem na rozstawionych nogach stało dwóch mężczyzn z wyciągniętymi pistoletami. Nie mogła się wycofać. Istniała tylko jedna droga do wolności — poprzez zagradzających drogę uzbrojonych bandytów. Mogła jedynie mieć nadzieję, że potężny silnik furgonetki ochroni ich na tyle, żeby to się udało.

— Trzymajcie się wszyscy — powiedziała ponuro, dodając gazu. Z nieba nad nimi posypał się deszcz złotych iskier, spadających w stronę czarnej jak atrament rzeki.

— Jaki mamy plan? — zapytała pasażerka z przedniego siedzenia.

— Staranuję ich.

Krok pierwszy: przyspieszyć do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

— Nicku Santiago, to twoja wina! — znowu wrzasnęła w kierunku swoich piersi i wcisnęła pedał gazu w podłogę. Nie potrafiła określić, które ze strzałów i stuków były wynikiem fajerwerków, a które kul syjących się na maskę furgonetki.

— Ommmmmmmm — zamruczał potężny czarny mężczyzna ściśnięty na tylnym siedzeniu pomiędzy trzema przerażonymi kelnerkami.

— Co u diabła wyprawia ten paker?

— Skąd mam u diabła wiedzieć? Może my też powinniśmy mruczeć razem z nim?

Riley wyparła z myśli dźwięk „ommmmm” dobiegający z tylnego siedzenia.

Krok drugi: celować w środek przedniego koła.

Jej pasażerowie zaprzestali mruczenia i zamiast tego zaczęli wrzeszczeć z przerażenia. Przed oczami Riley przebiegały fragmenty z ich żyć. Przez ułamek sekundy zastanowiła ją ironia faktu, że widzi życia innych osób, a nie własne — do tego właśnie doprowadziło ją dążenie do normalności za wszelką cenę. Jej życie było ciche i bezbarwne.

„Nie powinnam była rzucać szkoły!”

„Nie powinnam była robić temu facetowi laski!”

„Powiniennem był zjeść drugą porcję lodów z gorącym karmelem!”

Riley nie powinna była odpowiedzieć na pukanie do drzwi dwa tygodnie wcześniej.

Bum.

ROZDZIAŁ 2

Wtorek, 16 czerwca, 6:55

Łagodne dźwięki cyfrowych dzwoneczków wietrznych i śpiewających mniichów wybudziły Riley z dziwnego snu o starszej kobiecie z jakąś obsesją na temat węzłów chłonnych.

Trzasnęła dłonią w przyciski koszmarnego urządzenia, stopniowo zwiększającego głośność, które ukradła kiedyś pewnemu bardzo głupiemu człowiekowi, i naciągnęła koc na głowę. Teraz, w zawieszeniu pomiędzy snem a jawą, była sama. Cudowna, cicha samotność.

Żadnych natrętnych myśli od nieznanymych. Żadnych martwych babek, którym trzeba się przypodobać.

Tutaj, pod kocem, wszystko było normalne.

To znaczy na tyle normalne, na ile było to możliwe w przypadku kompletnie splukanej, trzydziestoczteroletniej korektorki, która wywodziła się z długiej i uznanej linii... nieważne zresztą. Nie chciała myśleć o specjalnych „talentach”, które występowały w jej rodzinie. A już na pewno nie zaraz z samego rana.

Był ciepły wtorkowy poranek, a to oznaczało, że jej współpracownik z boksu, Bud, przyniesie do pracy sushi tuż po terminie ważności, po czym spędzi większość popołudnia w łazience. Donna, gargulec z recepcji, będzie obrzucała wszystkich złowieszczym spojrzeniem i odreagowywała na nich swoją przegraną w bingo z poniedziałkowego wieczoru.

Oznaczało to też, że Riley mogła dzisiaj kupić sobie jakąś pyszną kawę w kawiarni, na co jej budżet pozwalał tylko raz w tygodniu.

Słyszac syreni śpiew marzeń o kofeinie, zwlekła się z łóżka i podpretała do łazienki na korytarzu.

— Riley! — rozległ się cienki, drżący głos z któregoś z niższych pięter. — Fred znowu potrzebuje twojej pomocy ze swoim kindlem!

— Dobrze, Lily! — odskrzyknęła.

Matka Riley uczęszczała kiedyś na zajęcia z garncarstwa z Lily Bogdanovich. Tak więc gdy Riley pewnego dnia stanęła na ganku przed zamkniętymi drzwiami domu, który jeszcze do niedawna był jej domem, i przekonała się, że zamki zostały zmienione, Lily radośnie udostępniła jej swoje poddasze.

Sypiąca się kamienica na Front Street należała do bliźniąt w podeszłym wieku: Lily i Freda Bogdanovichów. Odziedziczyli ją wraz z połową konia wyścigowego i wszystkimi wydaniami magazynu „Playboy”, jakie ukazały się między rokiem 1972 a 1984.

Żadne z nich nie miało własnej rodziny, założyli więc w kamienicy nielegalną noclegownię i zaczęli wynajmować pokoje kompletnie nieznanym osobom.

Riley miała mieszkanie na drugim piętrze, a mieściły się w nim łóżko, niewielka część dzienna i miniaturowa kuchenka, w której nie dało się przygotować wiele więcej niż popcorn z mikrofalówki i tosty.

Gipsowy sufit, zgodnie z dziwacznym architektonicznym zamysłem odpowiednim dla dawnej eleganckiej rezydencji, pełen był dziwnych kątów i łamanych płaszczyzn, jednak mansardowe okna dawały całkiem przyzwoity widok na rzekę Susquehanna, wijącą się na południe po drugiej stronie ulicy.

Wady?

— Ciszej tam trochę! — warknął antypatyczny głos zza zamkniętych drzwi.

Riley dzieliła łazienkę z drugim mieszkańcem poddasza, zajmującym pokój po przeciwnej stronie korytarza. Dickie Frick był zręczliwym i najprawdopodobniej zboczonym starszym panem. Jego wycieraczka miała napis „Spierdalać” i zawsze zostawiał swoją brudną bieliznę na podłodze przed umywalką. Nie wiedziała o nim wiele więcej. Czasami pamiętał, żeby spuścić po sobie wodę w toalecie, pracował do późna i w zależności od nastroju oglądał powtórki *Agentów NCIS* lub pornole.

Zignorowała Dickiego i przeszła z korytarza pokrytego tapetą w różane krzaki i zieloną boazerią do łazienki.

Aha, znowu tu są. Brudne i niezbyt białe. Ziewając szeroko, Riley schyliła się pod umywalkę i wyjęła stamtąd schowane przez nią na taką właśnie okoliczność szczypce do sałatki. Starając się nie przyglądać zbyt uważnie sztuce odzieży (tylko raz popełniła ten błąd), przeszła krótką drogę do drzwi Dickiego i zawiesiła mu gacie na klamce, po czym wróciła do łazienki.

Pomieszczenie miało swoisty, chociaż przyćmiony dekadami zaniedbania urok. Umywalka, podobnie jak stojąca na lwich łapach wanna, były poźółkłe ze starości. Podłogę pokrywały obskurne czarno-białe kafle. Wejście do wanny wywoływało złowrogie skrzywienie, jednak mimo wszystko podłoga jeszcze się nie poddała w swojej walce z grawitacją.

Riley wsunęła do ust szczoteczkę do zębów, a szczotkę do czesania w swoje grube, długie do ramion włosy. Geny jej matki ukraińskiego pochodzenia wygrały w loterii dziedziczenia: Riley miała ciemnobrązowe włosy i takie same oczy, które wydawały się nieco za duże w stosunku do jej twarzy. Ciężkie powieki sprawiały, że wyglądała na znudzoną, nawet gdy się tak nie czuła. Ich zaletą było jednak to, że jeśli tylko poświęciła dostatecznie dużo czasu na zabawę z cieniami do powiek, potrafiła osiągnąć mistrzowskie zalotno-prowokujące spojrzenie.

Nie żeby teraz miała ochotę na jakiegokolwiek zaloty. Rozwód nadal był bolesny, a poza tym była doszczętnie splukana. Naprawdę nie miała ochoty poznawać kogoś nowego i tłumaczyć się, dlaczego wszyscy jej współlokatorzy są emerytami lub rencistami. W razie gdyby pytał o to przedstawiciel jakichkolwiek władz, miała odpowiadać, że to jej wujkowie i ciotki.

Odhaczywszy poranną wizytę w łazience, Riley wróciła do swojego pokoju, nadal szeroko ziewając. Przez większość życia była niewyspana. To przez sny, które z wiekiem stawały się coraz bardziej uporczywe i irytujące. Włączyła telewizor i ubierając się, wysłuchiwała, jak pełna entuzjazmu ekipa wiadomości opowiada o działalności jakichś samozwańczych stróżów prawa w mieście. Grupa niezidentyfikowanych osobników, noszących maski, wysłedziła człowieka, który mimo wielokrotnych upomnień ignorował zalecenia dotyczące segregacji śmieci, i wypełniła jego samochód — akurat zaparkowany nielegalnie na miejscu dla niepełnosprawnych — aż po dach śmieciami.

— Oto co do powiedzenia na temat samozwańczych stróżów sprawiedliwości ma burmistrz Harrisburga Nolan Fleming...

Kamery pokazały burmistrza — który od czasu wyborów nie mógł się poszczycić niczym poza swoim seksapilem w stylu Kennedy’ego — stojącego na schodkach przed swoim biurem w centrum miasta.

— Mam pełne zaufanie do naszego wydziału policji. Nikt w naszym pięknym mieście nie stoi ponad prawem i nasi obywatele muszą pamiętać, że oliwa nierychliwa, ale sprawiedliwa, a branie spraw we własne ręce jest nie tylko niebezpieczne, ale również nielegalne.

Ubrana do wyjścia, Riley chwyciła z lodówki jakieś resztki i skierowała się ku tylnej klatce schodowej, będącej ciasną spiralą o stopniach tak wąskich, że były niebezpieczne dla każdego noszącego obuwie większe niż damskie trzydzieści osiem. Riley zeszała dwie kondygnacje w dół, po drodze notując oznaki życia na każdym z pięter.

Na chwilę zboczyła do kuchni na parterze. Było to słoneczne pomieszczenie, wyposażone w drewniane blaty i szafki w kolorze miętowym, do których sięganie wymagało użycia drabiny.

Fred, dziwnie umięśniony jak na staruszka, miał na głowie tupecik z przedziałkiem i koszulkę Hall and Oates. Podał jej swój czytnik, żeby odprawiła nad nim swoje magiczne rytuały młodości, co w praktyce oznaczało połączenie się z wi-fi i kliknięcie synchronizacji.

— Jesteś najlepsza, Riley — zaczął z wdzięcznością Fred, widząc, że jego książka *Pozycje jogi dla seksownych seniorów* załadowała się na czytnik.

— Tylko nie naciągaj sobie żadnych mięśni — ostrzegła go Riley. — Do zobaczenia później, panie Willicott — zwróciła się do innego ze swoich sąsiadów.

— Kim do diabła jesteś? — odezwała się zrzędliwym głosem podstarzała wersja Denzela Washingtona, nalewając sobie kawy do miseczki. Riley nie była pewna, czy pan Willicott rzeczywiście miał problemy z pamięcią, czy po prostu miał wszystko w dupie.

Wycofała się z powrotem na schody i pełną piersią nabrała świeżego, prawie letniego powietrza. Czerwiec w Pensylwanii był naprawdę przyjemny.

„Może mogłabym sobie wziąć godzinę lub dwie wolnego i wyjść wcześniej z pracy”, pomyślała, otwierając swojego jeepa.

„Tak, może pojechałabyś na ryby”.

— Nie pojedę na ryby, wujku Jimmy — wymamrotała, obracając kluczyk w stacyjce i włączając radio. Jeep należał niegdyś do jej już nieżyjącego wujka. Riley dostała go po tym, jak musiała zwrócić swojemu byłemu mężowi bmw, którym usiłował ją zaskoczyć po tym, jak znowu zapomniał o jej urodzinach.

Jimmy, brat ojca Riley, umarł, robiąc to, co kochał najbardziej: drzeмиąc w łodzi po obaleniu sześciopaku taniego piwa. Atak serca zabił go, zanim zdążył się obudzić i dokończyć piętrową kanapkę ze smażoną cebulą i grillowaną wołowiną. Wujek nie żył, ale to nie oznaczało, że odszedł. Jego duch wciąż snuł się po jeepie, którego odziedziczyła Riley. Jej siostra odmawiała jeżdżenia z nią gdziekolwiek, twierdząc, że wciąż jest w stanie wyczuć ducha styropianowej lodówki pełnej ryb, którą wujek zostawił kiedyś w samochodzie na tydzień w środku lata.

Wyjechała na Front Street, po prawej stronie miała rzekę, a po lewej Harrisburg. Miasto było stolicą stanu i niektóre jego części mogły robić niemal dobre wrażenie. Budynek siedziby rządu stanowego, z zieloną kopułą i postmodernistyczną fontanną, przyciągał turystów przez cały rok. Były też inne, mniej miłe dzielnice, takie, po których nie należało chodzić samotnie nocami, takie, które często były zalewane przez rzekę, i takie spod znaku: „Co to za dziwny zapach?”.

Oczywiście nie tylko dzięki przestępczości i dziwnym zapachom Harrisburg zyskał swoją reputację. Nie można zapominać o groźbie bankructwa związanej z fiaskiem spalarni śmieci, jak również utopieniu milionów dolarów z funduszy miejskich w kolekcji artefaktów z Dzikiego Zachodu, przeznaczonych do muzeum, które nigdy nie powstało.

Mimo wszystko miasto powoli zaczynało odżywać. Festiwale muzyczne nad rzeką przyciągały tłumy. Na ulicach odbywały się rodzinne biegi, browary i restauracje pojawiały się w niegdyś opuszczonych lokalach, od dawna opustoszałe budynki znajdowały nowych właścicieli z dostatecznymi funduszami na ich remont.

Little Amps było hipsterską kawiarnią i palarnią kawy, przyciągającą typ ludzi, którzy nie lubili sieciówek i drive-thru. Kawa była świetna, problemem natomiast były miejsca parkingowe. Budynek stał na rogu jednokierunkowych, wąskich uliczek. Riley objechała go dookoła dwa razy, po czym w desperacji zaparkowała przecnicę dalej na miejscu oznaczonym

kartką z wypłowiałym napisem „Zakaz parkowania do odwołania”, wydaną przez Zarząd Dróg Miasta Harrisburg.

„*Na twoim miejscu nie robiłbym tego*”. — W jej głowie rozległ się głos wujka Jimmy’ego.

Riley postanowiła to zignorować. Kartka wisiała tam od co najmniej sześciu tygodni i z jej punktu widzenia Zarząd Dróg po prostu robił kierowcom na złość.

Poczekwała, aż zardzewiała furgonetka i lśniący nowością samochód tesla przejadą, po czym przeszła przez ulicę. Facet z dredami i całym mnóstwem kolczyków w twarzy przytrzymał jej drzwi, gdy wbiegała po dwóch betonowych schodkach do kawiarni. W środku była kolejka, jak zawsze o poranku w tygodniu. Nikt jednak nie wydawał się tak spieszyć, jak zawsze spieszyła się Riley. Pewnie wszyscy mieli elastyczny czas pracy lub pracowali zdalnie.

Cholerni szczęściarze.

Zarząd firmy marketingowej, w której pracowała Riley, wzdrygał się na samą sugestię o takich bezceństwach.

Pracownicy mieli obowiązek przebywania w firmie przez bite osiem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu, żeby zarobić na swoją wypłatę. Jej szef, Leon Tuffley Jr, uroczy wiecznie drapiący się po kroczu człowiek, powiedział jasno, że nie ma najmniejszego zamiaru płacić swoim pracownikom za „udawanie” pracy, podczas gdy doskonale wiedział, że tak naprawdę wszyscy „piliby nago piwo i pierdzieli w stołki”.

W akcie cichego buntu rzeczeni pracownicy podczas swoich godzin pracy zaczęli poświęcać zupełnie niestosowną ilość czasu mediom społecznościowym i grom komputerowym. To była jedyna rzecz, jaka ich łączyła.

Riley przestępowała z nogi na nogę, wciągając kuszący aromat honduraskiej ciemnej palonej. Wiedziała już, że o ile wszyscy przed nią nie będą zamawiać zwykłej czarnej kawy, spóźni się do pracy. Znowu. I Donna, strzegąca biurka w recepcji wartownicza w nieokreślonym wieku i o nieustalonej przynależności gatunkowej, znowu będzie jej truła z tego powodu tyłek.

Po niemal roku pracy w firmie Sullivan, Hartfield, Aster, Reynolds i Tuffley Riley nie mogła powiedzieć, żeby choć raz widziała, jak Donna

się uśmiecha, wypowiada słowo: „Przepraszam” po zdzieleniu kogoś z łokcia w pokoju socjalnym lub myje ręce przed wyjściem z toalety.

„Czy powinnam ogolić strefę bikini na wypadek, gdybyśmy wieczorem uprawiali seks? A może nie golić i poczekać do następnej randki?”

Riley instynktownie obejrzała się przez ramię. Kobieta stojąca za nią przyglądała się tablicy z menu, jednak myślami najwyraźniej była przy ważniejszych sprawach. Sprawach, o których osoba nieznajoma, taka jak Riley, *nie* powinna słuchać.

Riley otworzyła w telefonie aplikację z wiadomościami lokalnymi, starając się zagłuszyć prywatne myśli nieznajomych i skupić się na tym, co się dzieje w okolicy.

— Witamy w Little Amps — powiedziała wesoło baristka, gdy wreszcie Riley znalazła się na czele kolejki. — Co podać?

Miała krótko obcięte, wygolone z jednej strony włosy. Kocie oprawki okularów miały jaskrawomalinowy kolor, pasujący do końcówek jej włosów. Na dłoni, nad kciukiem miała wytatuowanego pingwinka z serduszkami w miejscu oczu. A poza tym jej węzły chłonne z jednej strony szyi były opuchnięte.

Nie żeby Riley potrafiła to tak naprawdę *dostrzec*. Ale wiedziała o tym. *O cholera. Znowu? Tylko nie tutaj!*

Poczuła, że nos jej drga.

— Hmm, poproszę zimny słoik — wychrypiąła Riley, patrząc wszędzie, tylko nie na szyję dziewczyny.

„Powiedz jej — nalegała babcina postać z jej snów. — *Powiedz jej. Powiedz jej. Powiedz jej!*”

Riley zacisnęła usta. O nie, nie zamierzała tego znowu zrobić. I tak już z tego powodu musiała przestać odwiedzać w porze lunchu swój ulubiony sklep z kanapkami. I ten tani bar na Piątej Ulicy. Jej noga już nigdy więcej tam nie postanie.

„Powiedz jej!”

Potarła nos dłonią. Nadal drgał.

Te głupie przekazy z zaświatów niszczyły jej życie. Potrzebowała jakiegoś sposobu, żeby móc je wyłączyć. To nie tak, że nie były prawdziwe. Miała *wrażenie*, że są prawdziwe, ale zapewne były to jakieś szaleńcze kompulsje.

Jak na zamówienie jej telefon zadzwonił.

— Cześć, mam — powiedziała Riley. Baristka nalewała właśnie mleka na kostki lodu i mrożoną kawę w słoiku. Klienci, którzy odnieśli słoik z powrotem, dostawali dziesięć procent zniżki na kolejne zamówienie. Riley *naprawdę* chciała dostać tę zniżkę.

— Co się stało? — zapytała z naciskiem Blossom Basil-Thorn. Jej nosowy akcent z Wisconsin zawsze nasilał się, gdy martwiła się o swoje córki.

— Nic — skłamała Riley.

— Kłamiesz. Przejdźmy od razu do momentu, w którym zaczynasz mówić prawdę. Znowu miałaś sen?

Riley usłyszała jakieś stukanie i brzęczenie w słuchawce.

— Co robisz? — zapytała.

— Domowy proszek do prania, a twój ojciec pogarsza przeciek pod kuchennym zlewem — odpowiedziała jej matka. — A teraz opowiedz mi o tym śnie.

— Teraz nie mogę — wymigła się Riley. Baristka zakręciła słoik, pogwizdując jakiś jazzowy kawałek, zupełnie nieświadoma wewnętrznej walki, jaką toczyła jej klientka.

„To nawet nie było naprawdę”, powiedziała sobie Riley. To był tylko głupi sen, a dziewczyna przed nią miała zupełnie normalne węzły chłonne. Pewnie nawet nie miała żadnej zmarłej babci.

— Ach — powiedziała ze zrozumieniem matka Riley. — Musisz poznać tę osobę, cokolwiek to jest, Riley. To dar. Nie możesz marnować swoich talentów, ignorując je.

— To nie jest dar — zaprotestowała Riley. Podała baristce pieniądze, a gdy ich palce się zetknęły, zobaczyła ją jako pięcioletnią dziewczynkę, wspinającą się na stołek w kuchni prababci Idy, podczas gdy zupełnie jeszcze żywa Ida uczyła ją robić ciasto na naleśniki.

Cholera.

— Muszę kończyć, mam — powiedziała Riley i się rozłączyła. Przez chwilę stała w miejscu jak wmurowana, zastanawiając się, czy poczekać na resztę, czy po prostu uciec.

Dała dwudziestkę. Potrzebowała tej reszty.

„Powiedz jej o tym natychmiast!”

Riley zaczęła się zastanawiać, czy pani Ida stała się taką despotką po śmierci, czy też była taka zawsze.

— Proszę, reszta — powiedziała śpiewnie baristka, podając Riley pieniądze i paragon.

W głowie Riley tańczyły wizje węzłów chłonnych. Wepchnęła dolara do słoika na napiwki i odchrząknęła.

— Ida prosi, żebyś sprawdziła swoje węzły chłonne — wyszeptła.

Proszę. Zadowolona? I oto kolejne miejsce publiczne, którego nie będzie mogła więcej odwiedzić. Chyba będzie musiała zacząć odwiedzać kawiarnie i restauracje w przebraniu, żeby w razie czego móc tam wracać po takich głupich obwieszczeniach.

— Zaraz, co? Kto? — Baristka otworzyła szeroko usta i zagapiła się na Riley.

No właśnie, pewnie nawet nie miała żadnej prababci Idy.

— Chodzi ci o moją prababkę? — zapytała baristka.

Jasna cholera.

Riley zaczęła się wycofywać z kawiarni.

— Po prostu się zbadaj. Jak najszybciej.

— Poczekaj! — zawołała za nią dziewczyna. Ci spośród klientów, którzy nie mieli w uszach słuchawek i nie podrygiwali w rytm indie folku, odprowadzili Riley wzrokiem do drzwi.

Riley zatrzymała się gwałtownie, zakłęła pod nosem i wróciła do lady.

— Wezmę tylko to — powiedziała, czując, jak na policzki wypływa jej krwisty rumieniec, i chwyciła swój słoik z kawą.

Mogła się pożegnać z dziesięcioprocentową zniżką, bo nigdy nie zamierzała tu go odnosić.

ROZDZIAŁ 3

Wtorek, 16 czerwca, 8:05

Spóźniła się o cztery minuty i *oczywiście* boczne drzwi były już zamknięte.

Zmęczona i zirytowana Riley obeszła budynek, żeby wejść frontowymi drzwiami. Firma Sullivan, Hartfield, Aster, Reynolds i Tuffley mieściła się w dwóch szeregowych domach. Podłogi były nierówne, sufity niskie, a ściany pomalowane na niszczący morale odcień szarości, ponieważ Tuffley dostał zniżkę, gdy lokalne więzienie zamówiło zbyt wiele dwudziestolitrowych baniek z farbą przemysłową.

Recepcja była jednym z nielicznych dobrze wyglądających miejsc w firmie. Znajdowały się tam dywan w kolorze zieleni złamanej szarością, sztuczne rośliny w mosiężnych doniczkach i cztery winylowe fotele ustawione obok dystrybutora z wodą, który — podobnie jak pozostała część recepcji — strzeżony był przez wspominaną już wcześniej niewysoką, okrągłą i wiecznie wkurzoną recepcjonistkę.

— Dobry — powiedziała Riley.

— Zdaje się, że *ktoś* znowu się spóźnił — syknęła Donna, spoglądając karząco swoimi paciorkowatymi oczkami spoza kwiecistych oprawek okularów.

Donna traktowała sprawy takie jak spóźnienia, przedłużająca się przerwa na lunch lub robienie zbyt wielu fotokopii naraz jako osobistą obrazę. Swego czasu naskarzyła na jednego z grafików, że „dziwnie chodzi”.

Riley zignorowała ją i pospieszenie ruszyła korytarzem w stronę swojego boksu, zdążyła jednak jeszcze usłyszeć, jak Donna mówi do telefonu:

— Ta Thorn znowu się spóźniła. Chyba jestem jedyną osobą w tym budynku, która traktuje swoje obowiązki poważnie.

Obskurny korytarz, łączący ze sobą dwa budynki, prowadził do pokoju, w którym ściany również były szare, świeciły fluorescencyjne żarówki, a pośrodku, z dala od wszelkiego źródła naturalnego światła, stłoczonych było dziesięć boksów. Riley wślizgnęła się do swojego, dzielonego z Budem, grafikiem, który nigdy nie wyjmował z uszu słuchawek, niezbyt często się mył i obsesyjnie wyszukiwał w internecie informacje na temat porażek w Ultimate Frisbee. W ciągu roku, który Riley przepracowała w firmie, odbyli tylko jedną rozmowę — w dniu, w którym uruchomił się alarm pożarowy i Riley musiała go klepnąć w ramię, żeby powiedzieć mu, że czas się ewakuować.

Bud miał jednak również zalety — nie miał zbyt wielu myśli, które mogłaby przypadkiem podsłuchać.

Obydwa sąsiadujące boksy były puste dzięki wiosennym czystkom, jednak gdy Riley zapytała, czy mogłaby się przenieść do innego biurka, odpowiedzią było twarde: „Nie”.

To była odpowiedź na każde pytanie, jakie ktokolwiek ośmielał się zadać w tych ponurych murach.

Nie, *nie* mogła wyjść wcześniej na umówioną wizytę u dentysty. Nie, *nie* mogła przenieść swojej przerwy na lunch na 13:00 zamiast 12:45. Nie, zdecydowanie *nie* wolno jej było zawiesić reklamy studia jogi jej siostry na firmowej tablicy ogłoszeń.

To była główniana praca w głównianej firmie. Ale rozwiedzeni dziennikarze, zwolnieni z pracy w telewizji, nie mogli wybrzydzać. Riley musiała w niej wytrzymać jeszcze przez rok i dwadzieścia jeden dni — tak, odliczała to na kalendarzu w swoim mieszkaniu — żeby ta posada zamiast sygnałem ostrzegawczym stała się dowodem na jej odpowiedzialność i stabilność zatrudnienia w jej CV.

Jej biurko było zaśmiecone foliówkami zawierającymi wydruki tak ekscytujących rzeczy jak schemat pieca na ekogroszek czy reklamy przepierzeń łazienkowych. Kolejny ekscytujący dzień w życiu korektorki.

Riley włączyła monitor, trzasnęła go w prawy górny róg, żeby zniknęły z niego zielone linie, i rozpoczęła swój poranny rytuał: śledzenie w mediach społecznościowych poczynań byłego męża i jego obecnej dziewczyny.

Griffin Gentry był najpopularniejszym prezenterem wiadomości w telewizji śniadaniowej Kanału 50. Na opaleniznę w spreju i specjalistów od

treningu wymowy wydawał więcej niż większość ludzi na spłatę hipoteki. Twierdził, że wiadomości i dziennikarstwo ma we krwi, jednak tak naprawdę jego krew była w grupie medialnej, będącej właścicielem stacji. Jego ojciec — który zdecydowanie próbował Riley wsunąć język do ust w dniu ślubu — był wiceprezesem firmy i mógł pociągnąć za odpowiednie sznurki w swoim nepotyzmie.

Gdy do zespołu dołączyła ona — bystra, pełna wielkich nadziei i marzeń dwudziestoosmiolatka — reputacja Griffina została już zdezynfekowana i zredagowana. Nie zauważał jej przez pełne dwa lata. Dopiero podczas firmowego przyjęcia bożonarodzeniowego, gdy pijany Griffin przypadkiem przewrócił ją, gdy wychodziła z łazienki, poznał jej imię.

Zaczął ją potem zauważać, a ona pozwoliła sobie, by jej to pochlebiał, ołśniewało ją, a nawet budziło w niej wdzięczność. Przetrwali dwa lata spotykania się i rok małżeństwa, nim Riley nie była w stanie już dłużej ignorować sygnałów ostrzegawczych.

...z których najbardziej wybujałym była pogodynka, Bella Goodshine.

Przeglądanie konta na Instagramie tej biuściastej dwudziestoczterolatki było ulubionym sposobem na samobiczowanie się Riley. Bella wyglądała niczym aktorka ze *Słonecznego patrolu* ze swoimi długimi blond włosami i wielkimi niebieskimi oczami, w których nieustannie widniał wyraz zdumionego zachwytu. Prawdopodobnie to właśnie jako pierwsze przyciągnęło do niej Griffina... albo jej bardzo duże piersi.

Riley nie miała powodu do kompleksów na tym polu, ale nie wystawiała swoich atutów tak bardzo na widok publiczny jak Bella.

Radosna blondynka ubierała się niczym niegrzeczna studentka z bractwa i miała usposobienie gwiazd programów dla dzieci. Gdy Riley wpadła do własnej sypialni, w której zastała swojego męża bez spodni przed lustrem, Bella uprzejmie wypuściła z ust jego kutasa i przywitała ją wesołym: „O, cześć!”

Reakcja Riley była o wiele mniej przyjacielska i o wiele, wiele bardziej kosztowna.

Konto Belli na Instagramie było idealnym przykładem kontrolowanego i przefiltrowanego przekazu kobiety uwielbianej zarówno przez widzów, jak i partnera „jak ze snów”. *Rzyg.*

Riley wraz z pozostałymi sześćdziesięcioma pięcioma tysiącami osób śledzących konto Belli miała okazję obejrzeć nalesniki w kształcie serduszek, które „ukochany” Belli przygotował dla niej z okazji walentynek. Liczba obserwujących wzrastała z każdym kolejnym zdjęciem w bikini.

Dzisiaj jednak nie był dzień bikini. Nie, dzisiaj to było coś o wiele, wiele gorszego.

— To chyba jakiś żart — wymamrotała Riley pod nosem.

Krótki filmik pokazywał szczupłą dłoń z paznokciami w kolorze majtkowego różu, która przechylała się raz w jedną, raz w drugą stronę, żeby zaprezentować możliwie jak najwięcej rozbłysków światła w oslepiająco wielkim pierścionku z diamentem.

„...wizdowie mieli okazję zobaczyć oświadczyzny na antenie...”.

„Gratulacje, Biffin!”.

„Najbardziej seksowna para w historii”.

„#idealnyzwiązek”.

Zadzwonił telefon Riley. Nie musiała nawet spoglądać na ekran, żeby wiedzieć, kto dzwoni.

— Cześć, Jas.

— Ten pomarańczowy lis dał jej *twój* pierścionek!

Jasmine Patel była najlepszą przyjaciółką Riley, jej współniczką zbrodni i największym wsparciem. Riley sama nie wiedziała, czym sobie na to zasłużyła. Poznały się w szkole średniej, gdy matka Jasmine przeniosła swoją praktykę dermatologiczną do Camp Hill.

Jasmine w szkole średniej natychmiast stała się szalenie popularna, jak przystało na zwyciężczynię w genetycznej loterii. Naturalny wdzięk i obłędna wydolność układu sercowo-naczyniowego zawdzięczała wujkowi, który zawodowo grał w piłkę nożną w Wielkiej Brytanii. Idealne stopnie, które zdobywała bez szczególnego wysiłku, były czymś oczywistym u córki lekarki i doktora historii. A do sprawności i intelektu dochodził jeszcze jej wygląd.

Miała długie, lśniące, czarne włosy, które zawsze zachowywały elegancki wygląd, nawet gdy budziła się rano z kacem. Jej kości policzkowe były rodem z legend, podobnie jak cera, której nigdy nie skazyły wypryski. Jasmine jako pierwsza z dziewcząt w siódmej klasie wyhodowała sobie biust i jako pierwsza miała okazję powiedzieć Brysonowi, przystojnemu futboliście z dziewiątej klasy, żeby trzymał łapy przy sobie.

Podczas gdy Riley w swoich nastoletnich latach miała obsesję na punkcie bycia normalną, Jasmine zawsze się przeciwko temu buntowała. Jeśli ktoś miał wobec niej jakieś oczekiwania, ignorowała to. Jeśli istniała jakaś zasada, ona ją łamała.

A jeśli jakiś dupek ośmielił się skrzywdzić kogoś, kogo ona kochała, Jasmine Patel była niczym Don Corleone zemsty.

Gdy sędzia nakazał Riley zapłacić odszkodowanie jej kłamiącemu i zdradzającemu byłemu mężowi, Jasmine spokojnie wyszła z budynku sądu, wsiadła do samochodu i wjechała w drzwi od strony kierowcy należącego do Griffina kabrioletu audi.

Broniła się, twierdząc, że w jej samochodzie była pszczoła. W połączeniu z jej atrakcyjnym wyglądem i faktem, że Griffin zajął dwa miejsca parkingowe, sprawiło to, iż policja udzieliła jej jedynie ostrzeżenia.

— Prawie mi jej szkoda — wyznała Riley swojej najlepszej przyjaciółce.

Jasmine, która była mistrzynią chowania urazów, prychnęła pogardliwie.

— Proszę cię, jest dostatecznie dorosła, żeby wiedzieć, że wychodzenie za pozbawionego jaj kretyna, który zdradzał swoją pierwszą żonę, jest kiepskim pomysłem.

— Jestem pewna, że będą ze sobą bardzo szczęśliwi — powiedziała Riley, myśląc sobie, że na pewno będą się umawiać na rodzinne wizyty u chirurgów plastycznych i spoglądać na siebie czule ponad stołem konferencyjnym, przy którym ich prawnicy będą sporządzać umowę przedmałżeńską.

— Jak się czujesz? — zapytała Jasmine.

Riley uznała za pocieszające to, że w głosie przyjaciółki było więcej gniewu niż współczucia.

— Jakbym miała ochotę wypić wiadro tequili — przyznała.

— Mogę to załatwić — obiecała Jasmine.

Riley roześmiała się ponuro.

— Słuchaj, martwię się o ciebie, i to nie tylko dlatego, że twój były jest zapatrzonym w siebie grybem.

— U mnie w porządku — upierała się Riley. — Wszystko w porządku.

— Guzik prawda. Mieszkasz w podejrzanym domu starców. Masz beznadziejną pracę bez perspektyw. Z nikim się nie spotykasz. I założę się o butelkę tej tequili, że nie tylko *nie* pomalowałaś dzisiaj rzęs, ale na dodatek jesteś ubrana na szaro lub na czarno.

Riley była ubrana na *szaro-czarno*.

— Nie każdy musi mieć kolorową szafę, Jas.

— Posłuchaj, dziewczyno. Musisz zaakceptować fakt, że twoje próby stania się osobą normalną i nudną spełzły na niczym. Przystań trzymać się nadziei, że pewnego dnia się obudzisz i będziesz kimś innym. Musisz zaakceptować to, jaka jesteś, i z powrotem zacząć żyć. Teraz pozwoliłaś sobie na *stagnację*. Czas się rozruszać. Nałóż podkład, znajdź coś z porządnym dekoltem i *zrób* coś.

— Zrobienie czegoś wymaga pieniędzy — zauważyła Riley.

— Skarbie, gdybyś weszła do baru i zrobiła nadąsaną minę, nie musiałabyś płacić ani za drinki, ani za kolejny czynsz, o ile tylko byś się dobrze zakręciła — prychnęła Jasmine. — To zależałoby jedynie od tego, do jakiego baru byśmy poszły.

Jasmine nigdy w życiu nie płaciła za swoje drinki.

— Chyba trochę przeceniasz mój urok — stwierdziła cierpko Riley.

— Masz depresję? — Zaniepokoiła się jej przyjaciółka.

— Nie, oczywiście, że nie. Może. Prawdopodobnie.

Komputer Riley wydał z siebie charakterystyczny świst, oznaczający nadejście nowej wiadomości.

Temat: Punktualność w pracy.

Riley usłyszała skrzywienie ortopedycznych butów Donny na linoleum w korytarzu i westchnęła ciężko.

— Muszę kończyć.

— Dobrze. Ale wyświadczyć sobie przysługę i trzymaj się dzisiaj z daleka od mediów społecznościowych. *Nie* oglądaj filmiku z oświadczeniami. Zadzwoń do ciebie później.

Oczywiście, że był filmik z oświadczyn.

— Dzięki — powiedziała Riley z westchnieniem.

Rozłączyła się i zrobiła to, co robiła zawsze, ilekroć otrzymywała jakąś pasywno-agresywną wiadomość od swoich przełożonych: wstawiła w podpisie do swoich wychodzących maili nazwę firmy w formie skrótu SHART.¹

Następnie otworzyła stronę Kanału 50 na Facebooku i wpisała w wyszukiwarkę: „nieoczekiwane oświadczyn”.

¹ *Shart* — żartobliwe połączenie słów *shit* (srać) i *fart* (pierdzieć) — przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 4

Wtorek, 16 czerwca, 17:15

Po obejrzeniu z jakiś tuzin razy, jak Griffin teatralnie przyklęka na kolano w połowie wyjaśnień Belli dotyczących układu wysokiego ciśnienia, Riley zajęła się pracą, co oznaczało poświęcenie całego popołudnia na sprawdzanie, czy żaden z trzystu linków na okropnie przestarzałej stronie miasta nie odsyła już do strony pornograficznej, przez którą została zhakowana.

Do domu wlokła się w popołudniowych korkach z otwartymi oknami i podkreconą muzyką, żeby zagłuszyć sugestię wujka Jimmy'ego o jechaniu na ryby. Gdy dotarła na parking przed domem, zadzwonił jej telefon. To była jej siostra Wander.

— Hej — powiedziała Riley, parkując jeepa i wyłączając silnik.

— Cześć. — Lekko schrypnięty i bardzo w stylu zen głos Wander zabrzmiał niczym dźwięk medytacyjnego gongu... to znaczy gdyby medytacyjnym gongom towarzyszyły w tle wrzaski trójki dzieci. — Właśnie dowiedziałam się o Griffinie. Jak się masz? — zapytała.

— W porządku. Naprawdę — powtórzyła niczym refren Riley. — Przecież i tak nie chciałabym z nim być. — Chwyła swoją torebkę, torbę z lunchem i słoik po kawie, którego nigdy nie miała już zwrócić, po czym skierowała się do tylnych drzwi budynku.

— Oczywiście, że nie — zgodziła się Wander. — Ale to zupełnie normalne, że możesz mieć uczucia związane z tą sytuacją. Nawet *ja* je mam.

Riley weszła do domu i od razu poczuła silny i niezbyt przyjemny zapach dobiegający z kuchni. Pragnąc uniknąć rozmowy z sąsiadami, ruszyła w kierunku tylnych schodów.

— Serio? A co czujesz? — spytała swoją siostrę.

— Chciałabym, żeby karma działała nieco szybciej — przyznała Wander.

To w ustach jej siostry był ekwiwalent walnięcia samochodem w auto Griffina, tak jak to zrobiła Jasmine. Riley się roześmiała.

— Doceniam twój wkurw w moim imieniu.

— Przecież ten człowiek cię pozwał po tym, jak przyłapałaś go na zdradzie w waszym domu — mówiła dalej Wander. — Rozumiem, że każdy ma swoją podróż, ale nie podoba mi się, że ciągnął cię za sobą, po czym zostawił na lodzie w rynsztoku.

„Moja siostra naprawdę potrafi zaszać z metaforami”, pomyślała Riley.

— Naprawdę mam się dobrze — powtórzyła.

— To nie fair, że nadal płacisz za jego błędy, a on po prostu żyje sobie jak gdyby nigdy nic. — Głos Wander stracił swoje kojące brzmienie. Teraz wibrował w nim tłumiony gniew.

— Może powinnaś wziąć głęboki oddech? Pomedytować? — zasugerowała Riley, wchodząc po schodach.

Tymczasem wrzaski ze słuchawki po stronie Wander przybierały na sile.

— Dziewczyny, jeśli nie możecie ściszyć głosów i zachowywać się jak przystało na rodzinę, to zaraz każę wam znowu kręcić domowe masło.

Riley usłyszała chóralne „Nieeee”, po czym zapadła relatywna cisza, to znaczy taka, jaka była możliwa w przypadku trzech dziewczynek poniżej ósmego roku życia przebywających w jednym pokoju.

Następnie Riley usłyszała, jak jej siostra bierze głęboki oddech, a potem kolejny.

— Skonsultuję się z moimi opiekunami duchowymi — postanowiła Wander.

— W kwestii zaręczyn twojego byłego szwagra czy tego, że twoje dzieciaki się kłóca? — zapytała Riley, wchodząc wreszcie na ostatni podbieg schodów prowadzący na drugie piętro.

— Jednego i drugiego. Ale również ciebie. Martwi mnie, że na drodze do twojego szczęścia znajduje się przeszkoda.

— Jestem szczęśliwa — skłamała Riley.

Wander tylko dyskretnie prychnęła.

— Nawet z tej odległości wyczuwam kłamstwo.

— Jesteś strasznie dziwna — zauważyła ze śmiechem Riley.

— Ty też mogłabyś taka być, gdybyś tylko sobie na to pozwoliła.

Ich rozmowa zakończyła się, ponieważ Wander musiała ratować włosy którejs z córek z zapięcia na rzepy w tenisówkach. Nadal słysząc, jak chaotyczne odgłosy życia jej siostry brzęczą jej w uszach, Riley weszła do swojego cichego, spokojnego mieszkania.

Tyle tylko, że dzisiaj nie odbierała go jako cichego i spokojnego. Dzisiaj wydawało jej się raczej... smutne. Pozbawione życia. A przy okazji podejrzenie bardziej wysprzątane, niż kiedy je zostawiała rano. Narzuta na jej wysłużonej kanapie została poskładana i odłożona po niewłaściwej stronie. Czyste pranie, które w niedzielę przywiozła z domu rodziców, leżało starannie poskładane na stoliku do kawy. Stos korespondencji, którą nawet w przypiływie energii zdążyła otworzyć, również wyraźnie był przez kogoś przeglądany.

„Panna Penny”, pomyślała Riley. Jej sąsiadka z drugiego piętra miała hobby polegające na włamywaniu się do cudzych mieszkań i sprzątaniu ich.

Riley poczuła, że nos jej drga, i natychmiast stłumiła „przekaz” czy też halucynację, która próbowała się wdrzeć do jej świadomości. Gdy wokół było zbyt spokojnie, jej mózg robił głupie rzeczy, na przykład próbował przewidywać przyszłość lub odczytywać myśli innych. Jako że Riley nie miała trzech córek, na które mogłaby nakrzyczeć, ani ochoty na rozpoczęcie rozmowy z którymkolwiek z sąsiadów, postanowiła znaleźć sobie inne zajęcie. Przebrała się w szorty i koszulkę na ramiączkach i z udawanym entuzjazmem zbiegła na dół.

— Zjesz z nami obiad, Riley? — zawołał z kuchni Fred, machając przy tym łyżką umazaną jakąś substancją tak ciemną, że była niemal czarna.

— Próbujemy odtworzyć to danie ze szpinakiem z indyjskiej knajpy! — zawołała Lily, wychylając się zza niego. — Do czterech razy sztuka!

Rodzeństwo Bogdanovichów w ramach hobby lubiło odtwarzać przepisy z restauracji, jednak w przypadku potraw indyjskich rzadko kończyły się to dobrze. Potrafili przygotować coś włoskiego, nawet ich wołowina z brokułami była znośna, jednak jeszcze nigdy nie udało im się przyrządzić zjadliwej indyjskiej potrawy.

— Żałuję, ale nie mogę — powiedziała Riley, pospiesznie wtykając słuchawki do uszu. — Muszę lecieć! — Pomachała i skierowała się ku drzwiom, zanim ktoś mógłby spróbować ją kusić domowej roboty przypalonym chlebkiem naan.

Znalazłszy się na świeżym, niepachnącym szpinakiem powietrzu, podgłośniła muzykę, żeby zagłuszyć ewentualne przypadkowe myśli przechodniów, które mogłyby nękać jej umysł.

Błotnista, zielonkawa Susquehanna wiła się leniwie po jej prawej stronie. Popołudniowe słońce odbijało się w jej powierzchni i było całkiem przyjemnie. Nieco wilgotno, nieco zbyt komarzyście, ale drzewa i trawa miały kolor zdrowej zieleni, a rzeka nawet nie waliła zbyt rybami.

O, proszę. Wcale nie trwała w marazmie, robiła różne ciekawe rzeczy.

Jakiś biegacz bez koszulki, z imponującym sześciopakiem na brzuchu i tatuażem pokrywającym całe ramię pozdrowił ją skinieniem głowy. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale on był już zajęty obliczaniem, ile łyżeczek odżyvky białkowej mu jeszcze zostało, i nie zauważył ani jej biustu, ani jej uśmiechu.

Szła, aż zrobiła się głodna — czyli z jakiś kilometr — po czym wróciła do domu i przekradła się do siebie głównymi schodami, żeby uniknąć kolejnych zaproszeń na kolację.

Jej możliwości obiadowe ograniczały się do mrożonej pizzy lub ostatniego słoika mrożonej wegańskiej zupy z soczewicy, która została jej po niedzielnym obiedzie u rodziców.

Pizza wygrała.

Rozgrzała trzydziestoletni piekarnik i poddała się syreniemu wezwaniu kanapy. Padła na nią płasko i sięgnęła po pilota. Tak, panna Penny zdecydowanie tu była — w historii na Netfliksie widniały cztery odcinki ulubionego serialu jej sąsiadki *Za białym płotkiem. Obrzydliwe nierozwiązane zbrodnie*.

Riley nastawiła zamiast tego swój serial, który potajemnie uwielbiała, *Make It Out Alive*. Oglądanie zmagañ ludzi usiłujących przetrwać w ekstremalnych sytuacjach pozwalało jej spojrzeć na sprawy z szerszej perspektywy. Jasne, była rozwiedziona i splukana, a jej głupi były mąż zapewne właśnie zamawiał szyty na miarę smoking, ale przynajmniej nie została zmasakrowana przez niedźwiedzia grizzly w kanadyjskiej guszy.

Tak, wszystko było kwestią odpowiedniej perspektywy.

* * *

WŁAŚNIE ZASTANAWIAŁA SIĘ nad zjedzeniem czwartego kawałka pizzy, gdy usłyszała skrzypienie podłogi w korytarzu przez cienką niczym papier ścianę. Deski podłogi, zmęczone drepczącymi po nich przez dziesięciolecia stopami, wydawały z siebie jęk protestu, ilekroć ktoś zbliżał się do któregośkolwiek z mieszkań.

Pewnie to Dickie wracał.

Riley nie miała pojęcia, czym się zajmował ten człowiek, ale naprawdę pracował w dziwnych godzinach. Zwykle widywała go jedynie w sobotnie poranki, gdy z niechęcią wychodziła na poranne rodzinne zajęcia z jogi, a on właśnie wracał skądś, gdzie stare oblechy spędzają piątkowe wieczory i noce.

Usłyszała pukanie do drzwi i zastanowiła się, czy któryś z sąsiadów z niższego piętra przyszedł znowu poskarżyć się, że Dickie „tupie niczym stado bawołów”. Pukanie rozległo się ponownie, tym razem bardziej natarczywie.

To nie był nikt z sąsiadów. Wszyscy z nich mieli tendencję, żeby oznajmiać swoje przybycie okrzykami w rodzaju: „Hej, hej! Tu Lily z dołu!” albo „Dickie, wyłącz to cholerne porno! Wnuki przychodzą z wizytą”.

Riley usłyszała zbliżające się kroki i obróciła głowę w kierunku drzwi. Pukanie rozległo się w sekundę później.

Zwlekła się z kanapy, zastanawiając się, czy naprawdę ma ochotę spotkać kogoś, kto dobrowolnie zapukał do drzwi Dickiego. Zerknęła przez judasza i jej wewnętrzna debata została rozstrzygnięta.

Był wysoki, przynajmniej taki się wydawał przez wizjer, miał na sobie dzinsy i T-shirt. Spoglądał w dół na coś, co trzymał w dłoniach, jednak nawet czubek jego głowy obiecywał, że twarz będzie przystojna.

Otworzyła drzwi i jej przypuszczenia w pełni się potwierdziły.

Tak, wysoki. Szerokie ramiona, muskularna klatka piersiowa, opalona skóra, krótko obcięte ciemne włosy, które lekko kręciły się na czubku głowy. Czujne oczy pod grubymi brwiami, pełne wargi okolone głębokimi dołeczkami, których nie zdołał w pełni zamaskować lekki zarost buntownika.

I te oczy! Niebieskozielone niczym ocean w pogodny dzień... Mogłaby w nich utonąć.

Wizja nadeszła tak szybko, że nie miała czasu z nią walczyć. Nos zaczął jej drgać tak mocno, że poczuła, jak jej górna warga wydyma się niczym u Elvisa.

Przystojny nieznajomy na chwilę zniknął w chmurze przypominającej watę cukrową z niebiesko-różowej mgły. Potem zobaczyła obrzydliwą narzutę na łóżko utrzymaną w zielono-pomarańczowych odcieniach. Lampa ława rzucała na łóżko pomarańczowy blask. Widziała te oczy koloru oceanu wpatrzone w nią, gdy jego ciało zawisło nad nią. Tatuaze. Jeden na jego piersi, jeden na bicepsie. Żadnego na szyi — chwała Bogu. Jego usta na jej wargach, gdy ściągał z niej bieliznę.

— Riley — wyszeptał nieznajomy w jej wizji, ustawiając swojego bardzo, bardzo ładnego kutasa tuż przy jej dziurce.

— Nick — jęknęła Riley w swojej wizji, gdy w nią wszedł.

Pilot wyslizgnął się z jej dłoni i uderzył o podłogę. Wizja — czy też raczej halucynacja, z pewnością wywołana wcześniejszym wysiłkiem fizycznym — zniknęła.

Seksowny nieznajomy odchrząknął.

— Szukam Jorge Alvareza — powiedział.

— To ja — wychrypiała, zahipnotyzowana jego dołeczkami.

Zerknął w dół na trzymaną w ręku teczkę z klipsem i znowu spojrzął na nią.

— Ty jesteś Jorge Alvarez? — Uniósł jedną ciemną brew.

Odkąd brwi są seksowne?

Ten facet był albo zbyt seksowny, żeby być równocześnie bystry, albo naprawdę miał twarz pokerzysty.

— Żartuję. Nie znam żadnych Jorgów Alvarezów — powiedziała.

Nadal się jej przyglądał i Riley pomyślała przelotnie, że musi wyglądać na naprawdę zaniedbaną. Jej włosy związane były w niechlujny kok. Bluzkę miała poplamioną sosem z pizzy, a między zębami na pewno mnóstwo oregano.

„Nie uśmiechaj się lepiej”, poleciła sobie w myślach.

Skinął głową i coś sobie zapisał.

— Czy znasz większość swoich sąsiadów? — zapytał.

Sprawił wrażenie gliniarza. Naprawdę, naprawdę przystojnego gliniarza.

— Oczywiście — powiedziała, krzyżując ramiona. — Wszyscy jesteśmy spokrewnieni.

Ten facet wprawdzie nie pokazał żadnej odznaki, ale było w nim coś oficjalnego.

— Hmm — powiedział, najwyraźniej jej nie wierząc. — Mam tu zapisane, że mieszkający pod tym adresem Jorge Alvarez zamówił trzy pudełka czekoladowo-orzechowych batoników Nature Girl i jeszcze nie zapłacił.

— Ty sprzedajesz batoniki Nature Girl? — zapytała. Żaden szanujący się gliniarz nie udawałby, że jest członkiem organizacji zbierającej fundusze dla nastoletnich dziewcząt.

— Moja siostrzenica, a ja jedynie zbieram pieniądze od kanalii, które usiłują ją pozabawić uczciwego zarobku ze sprzedaży słodczy.

Nie ma mowy, żeby Riley przegapiła jedną z dziewcząt z Nature Girl sprzedającą w tym domu słodczy. Uwielbiała Karmelowe Ciągutki Wyrywabki. Ten przystojniak i jego brwi kłamali.

— Aha, jasne — powiedziała.

— Jesteś pewna, że pan Alvarez nie mieszka po drugiej stronie korytarza? — naciskał.

— Całkowicie.

Na chwilę pokazał w uśmiechu dołeczek i poruszył brwiami.

— A czy wiesz, kto *mieszka* po drugiej stronie korytarza?

— Tak — odparła, omdlewając wewnątrz.

Odczekał chwilę, po czym użył tego, co jak założyła, było jego najsilniejszą bronią: uśmiechu. Dołeczki w jego policzkach pogłębiły się, emanując seksapilem.

— Nie zdradzasz zbyt wiele, co? — zapytał, promieniując urokiem osobistym.

— Nie, jeśli rozmawiam z nieznanymi, którzy pukają do moich drzwi, szukając fałszywych sąsiadów, podczas gdy obok drzwi znajduje się wyraźna i czytelna tabliczka z nazwiskiem aktualnego lokatora.

Znowu odchrząknął i zerknął przez ramię na tabliczkę.

— A więc mieszka tu pan Frick?

Riley jedynie się uśmiechnęła.

Znowu coś sobie zanotował. Riley zmieniła pozycję, żeby zerknąć na kartkę.

— To wygląda dość oficjalnie jak na formularz zamówień ciasteczek Nature Girls.

Pospiesznie zamknął teczkę i opuścił ją, trzymając w dłoni.

— Dziękuję za pomoc, pani... — urwał.

Wskazała na tabliczkę przy swoich drzwiach.

— Thorn, cierní. To pasuje — powiedział, puszczając oczko. To niemożliwe, żeby ktoś miał aż tak głębokie dołeczki. Mogłaby się założyć, że dałoby się w nie wetknąć ołówki, tak żeby nie wypadły.

— Przepraszam, nie dosłyszałam nazwiska — powiedziała, wyciągając dłoń.

Zawahał się przez chwilę, nim ujął jej rękę.

— Nick.

No, no, czyli coś w jej wizji było prawdziwe.

Znowu zadrżał jej nos. *Kapa na łóżku. Lampa lawa. Seks.*

Potrząsnęła głową, wyrzucając ten obraz z myśli. Jego dłoń była ciepła, uścisk zdecydowany i to wszystko zbyt przypominało jej... marzenie. Ścisnął jej dłoń mocniej i poczuła, jak w odpowiedzi jej uda zaczynają drżeć.

— Tak naprawdę nie zbierasz pieniędzy za słodczy, co, Nick?

Spojrzał jej w oczy, nie wypuszczając jej dłoni.

— Skąd taki pomysł, Thorn?

Co ona wyrabia? Niemożliwie długi uścisk dłoni z przystojnym nieznanym, który w oczywisty sposób nie mówi jej prawdy? Riley zabrała rękę i otarła ją o swoje szorty.

— Nie ma tu Ciągutków Wyrwiząbków.

— Kim ty jesteś, jakąś...

— Znawczynią asortymentu słodczy Nature Girl — dokończyła. — Jak ma na imię twoja siostrzenica?

— Esmeralda — powiedział bez wahania.

Zmrużyła oczy.

— Nikt nie nazywa się Esmeralda.

— Jeszcze raz dziękuję za pomoc, Thorn. — Błysnął uśmiechem, który był kuszący i niebezpieczny. — Do zobaczenia. — Machnął teczką i skierował się do schodów.

— Kiedy tylko zechcesz, Nick. — Jeśli to w ogóle było jego prawdziwe imię. — Czy mam powiedzieć Dickiemu, że go szukałeś?

Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

— Może byłoby lepiej, gdybyś nie wspominała o tym swojemu...

— Wujkowi — dokończyła za niego.

— Właśnie. Może lepiej nie wspominaj o tym swojemu wujkowi.

Miała przeczucie, że tak właśnie powie.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Czy zdołasz podsłuchać myśli mordercy?

W przypadku Riley Thorn nic nie było zwyczajne i proste. Były mąż użył wszystkich swoich wpływów, aby pozostawić ją bez grosza, upokorzoną. Straciła pracę, którą lubiła. Przeprowadziła się do starej kamienicy, zamieszkałej przez grupę dość specyficznych emerytów. A do tego słyszała rzeczy, których normalni ludzie nie słyszą. Na przykład cudze myśli albo głosy zmarłych osób. Jej zwariowana matka uważała to za przejaw zdolności jasnowidzenia, jednak Riley bardzo chętnie pozbyłaby się tego „daru”. Nie potrzebowała dodatkowych komplikacji. A właśnie w jej życiu pojawiła się kolejna – tym razem przybrała postać niewiarygodnie seksownego przystojniaka.

Tajemniczy przystojniak nazywał się Nick Santiago i był prywatnym detektywem. Nie znosił biurokracji i zbędnych procedur, za to lubił zagadki kryminalne i piękne kobiety. Na śliczną Riley natknął się przypadkowo, gdy szukał jej sąsiada w ramach standardowego zlecenia. Dziwnym trafem niedługo potem sąsiad został zamordowany, a Riley stała się główną podejrzaną. Nick nie uwierzył w winę dziewczyny. Postanowił sam odnaleźć prawdziwego sprawcę. W rozwiązaniu zagadki nie pomagały mu jednak ani uroda Riley, ani jej zaskakujące zdolności. Jakby tego było mało, sprawa zaczęła się komplikować, a obok kobiety pojawił się dziwny nieznajomy. Morderca się wymykał.

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-8827-7



9 788328 388277

cena: 49,00 zł